

Byłem w Polsce – 19

18 sierpnia 2018

Ciocia Ela była, jak już powiedziałem, przyrodną siostrą mojego dziadzia i za czasów mojego dzieciństwa bardzo już stareńka. Mieszkała w przeuroczej willi tonącej w zieleni do tego stopnia, że z ulicy widać było jedynie dach domu. Posesja otoczona była murkiem całkowicie zarośniętym jakimś bluszczem czy powojem. W nigdy nieuprawianym ogrodzie wszystko rosło bez składu i ładu, pleniąc się we wszystkie strony. Ściany domu pokrywało dzikie wino, które wchodziło nie tylko na rynny i dach, ale nawet na komin.



Wszystko to było stare, zniszczone i w rzeczy samej dochodzące dni swoich. Podobnie było z ciocią Elą i jej współmieszkanką, niejaką panną von Todt, która prawie niewidoma mieszkała z ciocią od wielu lat.

Historię tych dwóch pań opowiem może kiedyś przy jakiejś okazji, ale na razie muszę powiedzieć o kotach.

Otóż jako siedmioletni może chłopak znalazłem kiedyś w zimie zamarzającego kotka. Wziąłem go do domu, odchuchałem, nakarmiłem i wywalczyłem dla niego prawo stałego mieszkańca. Nie przyszło mi to tak łatwo, bo spotkałem się z pewnymi oporami ze strony starszych, ale jakoś sprawę przeforsowałem i

kotek został. Nazwałem go Kitek. Karmiłem go tak dobrze, że już w lecie tego samego roku Kitek wyglądał jak nie przymierzając czarna pantera z amazońskiej dżungli. Przeciągał się leniwie, rozwalał na dywanie, grzał koło pieca i ze wszystkich jego ruchów i zachowania widać było, że docenia posiadanie obywatelstwa w naszym domu. Zawsze jednak, powtarzam zawsze, był z pewną rezerwą, tak jakby nie czuł się całkiem u siebie, jakby był gościem. Czuło się w nim pewną delikatność, a może nawet elegancję. Ale przyszedł zły czas i Kitek przeniósł się dość nagle do kociego nieba, pozostawiając mnie w takich łzach, że zaczęto się obawiać, czy się czasem w nich nie utopię.

Z pomocą przyszła właśnie ciocia Ela, która była kociarą co się zowie i wraz z panną von Todt mogły być uważane za kocie papieżyce.

Łańcucka willa obu pań była bowiem prawdziwym kocim rajem. Panie trzymały ich kilkanaście i co najważniejsze, wszystko o nich wiedziały. Ciocia Ela – potworny krótkowidz – brała koci łeb w obie dłonie, przysuwała do oczu i mówiła:

– No, kto ty jesteś? Czy to Balcio, czy Kapi?

Trzeba bowiem wiedzieć, że koci ród mieszkający z paniami był dokładnie zarejestrowany i przedstawiał się tak:

Protoplastą, którego nie pamiętam, był Saba. Ten Saba wraz z Famą zrodził Mikięgo. Miki – stary, ogromny kocur o siwych wąsach – „ożenił się” z Kokunichą i miał trzech synów: Kapięgo, Mela i Balcia. Ciocia mówiła, że to są zdrobnienia od Kacper, Melchior i Baltazar, ale jako katoliczka, krępowała się używać pełnych imion. W rzeczywistości koty nazwała tak panna von Todt, która była zatwardziałą luteranką i trochę na bakier z trzema królami.

Otóż po śmierci mojego Kitka – żeby choć trochę utulić mnie w żalu, ciocia Ela przyjechała do nas z koszykiem, a w koszyku był malutki Jojo – syn Kapięgo! Jojo – prawnuk legendarnego

Saby, wnuk Mikiiego i syn Kapiiego, nie miał za grosz tej delikatności, żeby nie powiedzieć elegancji co znaleziony w śniegach Kitek. Nic a nic. Był bezczelny, strasznie samolubny i prawie niesympatyczny. Miał jednak fantastyczną zaletę – fenomenalnie łapał myszy!

O tym Jojo, a później o trzecim, którego nazwałem Kitek Drugi, mógłbym naprawdę napisać grubą książkę, ale nie o nie tu chodzi, tylko o starą, zarośniętą zielenią willę cioci Eli. I ku mojemu żalowi nie znaleźliśmy jej, bo cała uliczka była zupełnie inna i w pewnej chwili nie byłem nawet pewien, czy to ta. Zatrzymałem się więc trochę na chybił trafił, trochę bez sensu i pomysłu i patrzyłem na coś, co widziałem jedynie w mojej wyobraźni. A widziałem siebie jako małego chłopca podchodzącego z mamą do furtki i pociągającego z całych sił za mosiężną rączkę dzwonka. A potem (ciągle jeszcze w wyobraźni) słyszałem wolne człapanie i stary głos pytający:

– A kto tam?

– Małgosia z Marcinem, ciociu – odpowiadała moja mama.

Człapanie stawało się coraz bliższe i pojawiała się ciocia Ela z Kokunichą na rękach.

Ale to wszystko było tylko dalekim, minionym obrazem, który po chwili rozpułynał się, tak jakby go nigdy nie było, a my ruszyliśmy w dalszą drogę do Warszawy, gdzie w Domu Opieki Jodła czekała na nas schorowana i zupełnie niedołączna mama mojej Żony.

Z Łańcuta ruszyliśmy na Sokołów i Nisko, ale zamiast jechać – jak pierwotnie chciałem – przez Sandomierz, wybraliśmy trasę przez Lublin. Zdecydowaliśmy się na tę zmianę, bo trasa wyglądała na nieco krótszą, a co ważniejsze, w dalszym etapie omijała przejazd przez Warszawę i prowadziła nas bezpośrednio do Anina.

Co było także ważne – ale nie aż tak bardzo – to to, że w

Lublinie... W Lublinie „byłem w wojsku”!

Takie powiedzenie wystrasza zwykle wszystkich słuchających, bo wiadomo, że teraz „zaczniesz się o wojsku”, o tym jak to było i jak „kaprał mnie, a ja kaprała”, ale mimo wszystko zaryzykuję.

Moje „wojsko” to było studenckie wojsko. Po prostu podczas całego pobytu na uczelni jeden dzień w tygodniu przeznaczano na szkolenie. Poza tym obowiązywały dwa czy trzy wakacyjne obozy wojskowe w prawdziwych jednostkach. Po studiach nie było żadnej rocznej szkoły oficerów rezerwy, tylko od razu przystępowało się do egzaminu oficerskiego. Jasne, że później – już w czasie pracy zawodowej – można było być w każdej chwili powołanym na parotygodniowe przeszkolenie, ale to z mojego punktu widzenia było samą radością i w rzeczy samej dobrym urlopem!! Miało się już przecież wtedy dwie gwiazdki i przysługiwały „przywileje”. W każdym razie nie było się już mięsem armatnim narażonym na ciągłe „przeczołgiwanie po tretuarze”. Proszę mi to wybaczyć, ale tak właśnie wtedy mówiono. Chodziło o karną komendę „czołganiem przez pełzanie naprzód marsz!”. Jeśli chodzi o „tretuar”, to tak mówiono o trotuarze, czyli chodniku.

No więc w sierpniu 1968 byłem na obozie wojskowym w Lublinie.

Wracając teraz do Warszawy, chciałem przejechać koło wielkich budynków z czerwonej cegły, w których pięćdziesiąt lat temu „ku chwale Ojczyzny” dostawałem surowo w skórę.

Dla młodego człowieka pierwsze chwile w każdej armii świata są prawie takie same. Jakby wycięte według tego samego szablonu.

Najpierw fryzjer i zaraz potem przerażająco inne odbicie w lustrze – odstające uszy, blada buzia, okrągłe przestraszone oczy i... następny! Potem chłodny, żeby nie powiedzieć zimny prysznic wśród innych, gołych ciał, ciasna kolejka do lekarza, który przyciska drewnianym językiem, rozszerza orbity oczu, jakby na odczepnego puka w plecy i... następny! Trochę później, ciągle jeszcze goła, kolejka po sorty mundurowe. Kolejka nie

idzie zbyt szybko, więc jest czas na „męskie” żarty dotyczące budowy przyszłych żołnierzy, umięśnienia itd. – wiemy, o co chodzi! Sorty mundurowe, za duże, za małe, piękne buty i wreszcie – ósmy cud świata – nieistniejące już dziś onuce! Kto nie wie i nie słyszał o wojskowych onucach, ten naprawdę nie zna życia, nie zna świata i można podejrzewać, że nic nie zna, bo onuce przez całe dziesięciolecia były najważniejszą częścią wojskowej garderoby.

Nie będę się rozwodził nad ich zaletami, bo akurat to zrobiły za mnie całe pokolenia podoficerów, ale powiem tylko tyle, że ten przedpotopowy anachronizm był bodajże ostatnim reliktem dawnej rosyjskiej „sztuki wojennej”, który w niezmienionej postaci przetrwał carów, rewolucje, wojny i dotrwał do moich czasów. Myślę – chociaż może się mylę – że moje pokolenie było ostatnie, które uczyło się w wojsku wiązać onuce.

Dalej było jeszcze bardziej wojskowo. O szóstej rano śniadanie! A na śniadanie zupa! Podawana w aluminiowych, oślizgłych – bo niespecjalnie starannie umytych – miskach. Gorąca, pożywna zupa! Kapuśniak z pływającymi – na okrasę – kawałkami wieprzowej skóry pokrytej z jednej strony szczecinką. Naturalnie wszystko gorące, rozgotowane i na gęsto. Reakcje były różne. Niektórzy – widać trochę słabszego serca – trzymając ręce przy buzi – wybiegali na zewnątrz, ale akurat to spotykało się z dezaprobatą podoficera dyżurnego, który zapędzał ich z powrotem do stołu. A przecież rzecz była dziecinnie łatwa. Trzeba było wziąć kawałek pływającej w zupie skórki i trzymając szczecinką na zewnątrz, wyssać i wygryźć miąższ słoninki i żyłek. Tak mniej więcej jak to się robi z pomarańczą! Nikt nikomu nie kazał jeść szczecinki. Tą pozostałością skórki można sobie było namaścić buty, bo po poligonowych ćwiczeniach w błocie najpierw zmoczone, a potem suszone, stawały się twarde jak drewno. Potrzebowały więc tłuszczu na zmiękczenie.

Sierpień 1968 to była oczywiście Czechosłowacja, Dubczek, inwazja, początek doktryny Breżniewa i nasze wojska z wizytą w

bratnim kraju. Całą noc, leżąc na pryczach, słuchaliśmy jednostajnego huku wielkich samolotów sowieckich lecących w kierunku południowo-zachodnim. No więc stan gotowości, jakieś pogadanki, wzmożona aktywność oficerów politycznych i wreszcie trochę surowsze ćwiczenia i trochę mocniej w skórę, żeby nie było za dużo czasu na myślenie.

To była zresztą stara wojskowa zasada. Młody żołnierz powinien być cały czas zajęty, bo jak ma chwilę wolnego czasu, to zaczyna myśleć, a w armii nie ma nic gorszego niż myślący żołnierz!

Ten poinwazyjny kac wymagał jakiegoś klina, więc na koniec miesięcznego obozu dowództwo zorganizowało nam fantastyczne występy młodego zespołu, który śpiewał miłe piosenki. Było parę dziewczyn ubranych w króciutkie szorty, perkusista, dwóch gitarzystów, piękna, sierpniowa pogoda, no i my – żołnierze – przyszli oficerowie!

Widok tańczących na estradzie dziewczyn spowodował entuzjazm, w czasie którego zaczęło dochodzić do wspólnych tańców, zrywania mundurów, ogłuszających wrzasków i takiego szaleństwa, że w pewnym momencie musiała interweniować kompania wartownicza. Ale nie za surowo! Nie za surowo! Niech się żołnierze trochę pośmieją! Po występach, ku nieopisanemu żalowi całego batalionu, dziewczyny odjechały ciężarówką. Stały jeszcze, machając nam rękami i posyłając całusy. Ogólny szal doszedł do zenitu!

A potem był wspólny, pożegnalny apel wszystkich pododdziałów! Wielki, gruby dowódca pułku stał w otoczeniu oficerów jednostki i tubalnym głosem przemawiał z taką mocą, że słysząc go było daleko, aż po najdalsze szeregi żołnierzy, którzy patrzyli w niego „jak w tęczę!”. Pot lał mu się po twarzy, a on, nie bacząc na to, krzyczał: – Żołnierze!!!

A echo odbijało się od murów koszar i wracało do nas wspaniałym pogłosem: „...erze, erze, erze!!!”.

– Spełniliście swój obowiązek! Wracajcie do waszych domów i do waszych kobiet i niech wasze życie będzie usłane różami, a nie tak jak droga poligonowa kurzem i błotem!!!

I wtedy pułkowa orkiestra zagrała znaną piosenkę „Szli na zachód osadnicy...”, a my – kompania po kompanii przemaszerowaliśmy w jej rytm dumnie i z przytupem przed frontem kadry! Podniosłość chwili udzieliła się wszystkim do tego stopnia, że wiwatom i hurrra nie było końca!

Takie mniej więcej były moje wrażenia z tamtych sierpniowych dni 1968 roku w lubelskiej jednostce wojskowej.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Zdjęcie: [cuneax](#) (CC0)

Źródło: [Goniec.net](#)